

ZOFIA ZIELIŃSKA

emeryt. prof. Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego

W opublikowanym pierwotnie w 1993 r. na łamach „Kwartalnika Historycznego” artykule *Na marginesie reedycji „Sejmu Czteroletniego” Waleriana Kalinki* Jerzy Michalski, stroniący raczej od metodologicznych deklaracji, wypowiedział się w sprawie tematyki historii historiografii. Odwołując się do opinii Władysława Konopczyńskiego, Kazimierza Tymienieckiego i Aleksandra Gieysztora wskazywał, że przedmiotem tej gałęzi historii powinno być badanie umiejętności wyzyskiwania i pogłębiania narzędzi poznawczych, stopnia wyostrenia zmysłu krytycznego i — w efekcie — ustalenie rzeczywistego wkładu danej pracy w poznanie przeszłości¹. Tę definicję uważam za aktualną i wedle niej oceniam także wartość prac ostatniego trzydziestolecia.

Dziś do narzędzi stwarzających nowe szanse należy łatwiejszy od 30 lat dostęp do wielu archiwów (otwarcie granic), a jeśli idzie o archiwalia rosyjskie, kluczowe dla badaczy XVIII w., dopuszczanie do nich po raz pierwszy po krótkim okresie lat 1908–1914. Wyjazdy do dobrych bibliotek zagranicznych ułatwiają korzystanie z nieosiągalnych w kraju opracowań i edycji źródłowych, istnieją też większe niż dawniej możliwości nauki języków obcych — wszystko to są oczywiste plusy. Kluczowy zapewne jest internet, umożliwiający dotarcie do ogromnej liczby publikacji.

Jeśli idzie o zadania historiograficzne rysujące się z perspektywy badacza dziejów politycznych XVIII w., z której piszę, jako najważniejsze wymieniałabym:

1. Z dotychczasowych efektów kwerend w archiwach rosyjskich wynika, że nie może być mowy o poprawnych metodologicznie badaniach dziejów politycznych Polski — także wewnętrznych — bez uwzględnienia owych archiwaliów. Rosja bowiem — zwłaszcza w drugiej połowie XVIII w. — zbyt głęboko wnikała w polskie życie polityczne. Inne, znacznie łatwiej dostępne archiwalia (m.in. pruskie, austriackie czy saskie)

¹ J. Michalski, *Studia historyczne z XVIII i XIX wieku*, t. 2: *Ideologia, nauka, historiografia*, red. W. Kriegerisen, Z. Zielińska, Warszawa 2007, s. 509–523.

też muszą być wykorzystane, nie dla wszystkich tematów są jednak tak niezbędne, jak rosyjskie.

2. Wciąż odstajemy od krajów zachodnich, jeśli idzie o publikacje źródłowe. Tę dziedzinę historiografii bym promowała, oczywiście po ocenach sensowności przedkładanych projektów, bo miałam okazję się przekonać, że wnioski o granty często dotyczą tekstów dalszorzędnych, a niekiedy są wręcz hochsztaplerskie. Do pilnych prac edytorskich zaliczyłam np. publikację korespondencji Stanisława Augusta (trochę ruszyła korespondencja dyplomatyczna, krajowa zaś leży odłogiem), diariuszy sejmowych dla całego XVIII w. (wraz z załącznikami wedle wzoru Konopczyńskiego), kontynuować należy publikacje akt sejmikowych. Wszystkie te edycje powinny mieć także wersje internetowe, niekiedy nawet płatne (tak jak jest na zachodzie). Wydawnictwa akt sejmikowych prowadzone przez Michała Zwierzykowskiego i stworzoną przez niego szkołę traktuję jako jedno z najważniejszych osiągnięć trzydziestolecia.

3. Nie do przecenienia są publikacje kluczowych polskich źródeł niedostępnych w kraju, typu serii wydawanej pod redakcją Andrzeja Rachuby: *Metryka Litewska. Rejestry podymnego Wielkiego Księstwa Litewskiego*. To akurat nie jest źródło do historii politycznej *par excellence*, ale stanowi kopalnię informacji o ludziach. Również tę serię uważam za jedno z najważniejszych osiągnięć trzydziestolecia.

4. Nie sądzę, aby rychło było nas stać na systematyczne publikowanie raportów dyplomatów obcych pozostających w Warszawie. Z tego punktu widzenia unikatowa edycja *Acta Nuntiaturae Poloniae*, choć dla XVIII w. obejmuje jeszcze znikomą liczbę lat (1706–1709, 1711–1714, 1766–1769 i 1775–1776, tomy przygotowane przez J. Kopca, W. Kędra i P. Zajęca) stanowi istotny impuls. Marzyłabym o publikacji raportów dyplomatycznych zwłaszcza przedstawicieli Rosji.

5. Wydaje się, że należałoby uwzględnić osobne serie edytorskie dla celów dydaktyki. Jeśli mamy serio prowadzić zajęcia z historii powszechnej, musimy mieć pod ręką obce teksty dostępne dla studentów, niezających egzotycznych już języków francuskiego czy rosyjskiego. Jako emerytowany nauczyciel akademicki dobrze pamiętam, ile kosztowało mnie tłumaczenie na ćwiczenia z historii powszechnej tekstów traktatów rosyjsko-pruskich, fragmentów *Politische Correspondenz Friedrich's des Grossen* czy korespondencji politycznej Katarzyny II. Wydawnictwa tłumaczone pomogą wyjść na zajęcia poza zakłętą krąg niewielkiej liczby dostępnych po polsku pism politycznych czy pamiętników zagranicznych autorów.

6. Z uwagi na nasze historiograficzne zaniedbania (spowodowane brakiem własnego państwa) szczególne wyróżnienie wśród opracowań

należy się serii *Urzędników* rozpoczętej dla Korony pod redakcją Antoniego Gąsiorowskiego jeszcze przed „przełomem” (1985), ale kontynuowanej po nim (ostatni z wydanych zeszytów pochodzi z 2002 r.); dla Litwy serię tę kilkanaście lat po Gąsiorowskim podjął Andrzej Rachuba i jest ona nadal uzupełniana. *Urzędników* (wraz ze spisami deputatów trybunalskich dla obu części Rzeczypospolitej) uważam za najważniejsze chyba osiągnięcie naukowe trzydziestolecia, dotyczy bowiem infrastruktury nauki.

7. Z różnych przyczyn, na których wyliczenie nie ma tu miejsca, istnieje głęboki rozdział między poziomem wiedzy historycznej badaczy i przeciętnego polskiego inteligenta. Znikła kategoria „przedwojennego inżyniera”, mającego, dzięki szkole, dużą wiedzę humanistyczną. Z tego względu pożądane, a nawet traktowane wręcz jako społeczny obowiązek badaczy wydaje się pisanie prac popularnonaukowych. Mamy tu przykład Emanuela Rostworowskiego *Ostatniego króla Rzeczypospolitej* (1966) czy Wojciecha Kriegseisena *Sejmików Rzeczypospolitej szlacheckiej w XVII i XVIII wieku* (1991), powstałych na marginesie opublikowanych wcześniej monografii.

8. Otwarta pozostaje sprawa syntezy dziejów politycznych XVIII w., ogromnie potrzebnej. Wciąż podstawowym podręcznikiem jest tom drugi *Dziejów Polski nowożytnej* Władysława Konopczyńskiego, obejmujący około 200 stron (reszta poświęcona jest drugiej połowie XVII w.). W moim przekonaniu synteza napisana dziś, a dotycząca dziejów politycznych samego tylko XVIII w. (bo tak bym ją widziała), musiałaby być znacznie obszerniejsza niż nader skomprimowany wykład Konopczyńskiego. *Leitmotiv* stanowiłyby losy i szanse państwa. Oczywiście autor musi mieć w głowie także kwestie inne, na te losy i szanse wpływające — sprawy gospodarcze, społeczne i problemy kultury. Tak właśnie, jak to jest w wypadku syntezy Konopczyńskiego.

9. Skoro mówimy już o opracowaniach, wydaje mi się, że w ciągu ostatniego trzydziestolecia powstało na temat dziejów politycznych Rzeczypospolitej w XVIII w. może nawet kilkanaście monografii o dużej wartości. Ze względu na zakres podstawy źródłowej wymieniałabym spośród nich rozprawę Jacka Burdowicza-Nowickiego *Piotr I, August II i Rzeczpospolita 1697-1706* (2010). Do polskiej historiografii nie mamy prawa zaliczyć wybitnej książki brytyjskiego historyka Richarda Butterwicka *Polska rewolucja a Kościół katolicki 1788-1792* (2012 i 2019). W istotny sposób wzbogaciła ona wiedzę o Polsce XVIII w., stanowiąc nie tylko dzięki zakresowi kwerendy źródłowej, ale również przedstawieniu tytułowego problemu na bardzo szerokim tle międzynarodowym, godny naśladowania historiograficzny wzorzec.

10. Pytanie o społeczną funkcję historiografii oraz o to, czy dzisiejszy historyk powinien traktować swą pracę naukową jako służbę społeczeństwu (narodowi), sytuowałabym na szerszym tle. Sądzę, że wszelkie role społeczne należy traktować jako służbę społeczności, wśród której żyjemy, i z której osiągnięć czerpiemy. I w każdej pracy, o ile nie jest narzucona człowiekowi przemocą okupanta, obowiązuje zasada rzetelności w jej wykonywaniu. Historiografia, tworząc i wspierając pamięć zbiorową, ma istotny wpływ na poczucie wartości wspólnoty, której dotyczy. Przypominając nasze godne aprobaty działania, poczucie to wspiera. Gdy działania te wydają się naganne, prace historyczne mogą stanowić ostrzeżenie przed sytuacją, w której niepożądane zachowania się przejawiały. W obu wypadkach historyk powinien przedstawiać sprawę zgodnie z regułami warsztatu i ferować oceny *sine ira et studio*. Mamy złe doświadczenie PRL-u — odtwarzania dziejów Rzeczypospolitej z nastawieniem nieprzychylnym. W wolnym kraju ani to nastawienie, ani tendencja apologetyczna nie służą dobrze budowaniu trwałego poczucia wartości wspólnoty i szacunku dla naszej dziejowej spuścizny.

Teraz przejdę do negatywów. Pierwszym jest „długi cień PRL-u” w historiografii. Chodzi przede wszystkim o odłożony w czasie efekt negatywnej selekcji kadry naukowej. Negatywnej i w sensie naukowym, i charakterologicznym. Wypromowany w nauce ze względów politycznych profesor często ani sam nie miał warsztatu, ani nie był w stanie wykształcić uczniów, którzy poprawnym warsztatem dysponują. Dziś uczniowie ci są już profesorami, promującymi następnych, pozbawionych umiejętności warsztatowych historyków. Od profesora z awansu politycznego, a także wykształconych przez niego uczniów i adeptów tych ostatnich trudno też oczekiwać gotowości przyjęcia krytycznych recenzji ich prac. Istnieją całe „spółdzielnie” świadczących sobie nawzajem autorów grzecznościowych recenzji w odniesieniu do książek, które na to nie zasługują. W ten sposób nie tylko fałszujemy obraz wkładu w historiografię, ale tolerujemy i rozprzestrzeniaemy nierzetelność.

Dotyczy to nie tylko recenzji, ale i przyznawania grantów. Spora część tych, których losy śledziłam w ciągu kilkunastu ostatnich lat, wciąż przyznawana jest przez owe „spółdzielnie”, albo też rozstrzygają o wnioskach ludzie niekompetentni. Cóż sądzić o opinii, że praca „nie zawiera elementów innowacyjnych”, bowiem mieści się w nurcie historiografii tradycyjnej, a mowa tu o rozprawie opartej w lwiej części na nietykanych wcześniej źródłach. Drugi przykład dowodzi kompetencji, czy raczej niekompetencji oceniającego; informację wnioskodawcy, iż w projektowanej edycji będzie się opierał na instrukcji wydawniczej, recenzent skwitował stwierdzeniem, że minusem wnioskodawcy jako badacza jest liczenie się

z opinią wydawnictwa, czyli gotowość kierowania się jego instrukcjami. Oceniający ewidentnie nie znał pojęcia „instrukcji wydawniczej”. Oba powyższe przykłady dotyczą znanych mi wniosków.

Kilka innych negatywów wiąże się ze szkolnictwem średnim. Tu wskazałabym tylko najważniejsze zjawiska. Świadomie założone i konsekwentnie wykonywane obniżanie poziomu polskiej szkoły po II wojnie światowej owocowało m.in. negatywną selekcją do zawodu nauczycielskiego. Wyniszczenie podczas wojny polskiej inteligencji zbiegło się z masowością szkolnictwa średniego; do liceum szli i wciąż idą ludzie zupełnie do tego kulturalnie nieprzygotowani. Ich kulturalny awans udaje się osiągnąć w niewielkim stopniu. Założone również z góry obniżenie poziomu wiedzy historycznej i jej deformacja to kolejny czynnik składający się na jakość studentów, z którymi spotykamy się na uniwersytecie. Dramatem — szczególnie widocznym w czasach po „przełomie” — stała się nieumiejętność pisemnego wyrażania myśli — to znamy wszyscy zarówno z uczelni, jak i z publikacji. I wreszcie — widoczny od razu po II wojnie proces degradacji nauki historycznej, owocujący jej mizérią finansową i negatywną selekcją do zawodu, który po roku 1989 został wzmocniony. Przed „przełomem” prócz studentów, którzy szli na historię w wyniku selekcji negatywnej (nie mieli szans dostać się na politechniki, uczelnie ekonomiczne czy medyczne), oraz prócz „hobbistów”, na studia te decydowali się ludzie, którzy interesowali się polityką, ale zdawali sobie sprawę, że wszelkiego rodzaju „nauki polityczne” spełniają przede wszystkim rolę rozsadników ideologii. Po „przełomie” te osoby często idą na „stosunki międzynarodowe” czy „nauki polityczne”. Jako historycy tracimy ich.

Jeszcze jednym aspektem degradacji szkolnictwa średniego jest — wciąż stanowiąca problem w historiografii — nieznamość języków obcych. *Homines novi* w kulturze nie wynieśli zrozumienia potrzeby ich nauki z domu, nie mieli szans nauczyć się ich w szkole czy na lektoratach uniwersyteckich. Wciąż spotykam badaczy XVIII w. nieczytających po francusku, nieznających łaciny (jej wycofanie ze szkół to osobny, kosztowny dla historiografii czynnik negatywny), a po „przełomie” doszła do tego nieznamość rosyjskiego. Współczesna *lingua franca* — język angielski — nie rekompensuje niczego, poza czytaniem w literaturze, jeśli ma ono miejsce.

Od kilkunastu lat w związku z niżem demograficznym mamy do czynienia z kolejnym czynnikiem negatywnej selekcji studentów. Uniwersytet przyjmuje niemal wszystkich, którzy chcą się w gronie jego słuchaczy znaleźć, bo inaczej etaty będą tracili pracownicy. W efekcie na I roku romanistyki są studenci nieznający słowa po francusku, a na historii tacy,

którzy kończąc rok II nie wiedzą, w którym stuleciu panował Zygmunt August (moje własne doświadczenie). I nie bardzo ich to interesuje — coś wypada studiować, a poza historią nie na wiele się (we własnym przekonaniu) nadawali. Gdyby mieli w szkole średniej historię na poziomie i musieli ją zdać na maturze, erudycyjne luki zapewne byłyby mniejsze.

W odniesieniu do prac naukowych premiowana jest ilość, a nie zawsze jakość osiągnięć. Jest to oczywiście problem nader trudny i ponadczasowy. Jednak parametry oceny zewnętrznej mają tu wpływ często negatywny. Kilkakrotnie spotkałam się na własnym uniwersytecie z argumentacją, że zatrudniamy X a nie Y, bo pierwszy na pewno napisze w terminie pracę na stopień, a z drugim (choć wiadomo, że nie publikuje rzeczy mało ważnych) — nie można być tego pewnym. W ten sposób promuje się przeciętność, ale zapewnia własnej placówce naukowej wyższą ocenę zewnętrzną.

Z tą kwestią łączy się jeszcze inny problem — miejsca dydaktyki na uniwersytecie. W moim macierzystym Instytucie Historycznym (dziś Wydział Historii) Uniwersytetu Warszawskiego oficjalnie zawsze podkreślano znaczenie zajęć ze studentami, ale praktyka od owych deklaracji odbiegała. W ocenach urzędowych pracowników dydaktyka praktycznie się nie liczyła i wiadomo było, że lekceważenie obowiązków w tej dziedzinie nie prowadzi do żadnych konsekwencji. Poza kursującymi wśród studentów i kolegów-naukowców opiniami, mającymi znaczenie tylko prestiżowe.

Wszystkie wymienione elementy składają się na to, że mamy do czynienia z poważną liczbą historyków — pracowników naukowych, którzy nie znają podstawowych zasad warsztatu. I to wydaje mi się w tej chwili największym zagrożeniem.

Otwarcie na zachód rodzi nie tylko pozytywy. Także dlatego, że wskutek pogoni za metodologicznym nowatorstwem i tam powstaje sporo dzieł tandetnych, ale o tytułach sygnalizujących modną problematykę. To otwarcie rozczarowuje również z tej racji, że nasz region przedstawiany jest często z rażącą nieznajomością polskiej historiografii, a dzieła o Rosji raczej nie wychodzą poza osiągnięcia przedrewolucyjnej historiografii rosyjskiej, mimo nowoczesnych tytułów (w rodzaju *Geneza praw człowieka w Rosji XVIII w.*).

I wreszcie: na uczelniach nie tylko dominuje lewicowo-liberalna ideologia, ale zgodnie z nią kształtuje się dobór kadry. Nie jest to deklarowane *explicite*, ale realizowane w praktyce zarówno dlatego, że gremia kierownicze poszczególnych wydziałów ideologii tej hołdują, jak i poprzez powiązania nieformalne. Sprawę tę tylko sygnalizuję, bowiem do szczegółów w tych kwestiach (a więc do źródeł informacji) dostępu nie mam, widzę tylko efekty.

W czasach PRL-u jeden z przejawów owego nastawienia stanowiła w moim macierzystym Instytucie deprecjacja zajmowania się historią Polski i historią polityczną. Ich wybór miał jakoby świadczyć o węższych horyzontach (ograniczonych do polskiej tylko przeszłości), płytszym ujęciu (historia polityczna odzwierciedla rzekomo tylko powierzchnię zjawisk) czy budzącym podejrzenia o niezdrowe uczucia narodowe preferowaniu spraw polskich. Był to swoisty wariant „pedagogiki wstydu”. Tak jakby o jakości historiografii świadczył wybór tematyki z historii Polski czy innego kraju, a nie zakres spożytkowanych źródeł oraz ich krytyczne wykorzystanie z uwzględnieniem literatury i klarowny, precyzyjny opis wyników. Może ze względu na zmiany pokoleniowe ta atmosfera należy już do przeszłości.

Konkluzja jest w odniesieniu do mego macierzystego Instytutu — mimo wskazanych wyżej mankamentów — optymistyczna w kwestii zasadniczej: wciąż jeszcze jestem przekonana, że na Wydziale Historii Uniwersytetu Warszawskiego można zdobyć solidne warsztatowe wykształcenie w stopniu, który umożliwia pogłębianie go w miarę postępu własnych badań.